1846. Nr 18. ROK 5.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY.

PIEŚŃ UKRAIŃSKA.

Na pagórkach śniegi leżą,
Po dolinach wody bieżą,
Po zagonach kwitną maki;—
To nie maki, a Czumaki,
Z Krymu bieżą, ryby wiezą.

Matka syna poznawała,
Niepoznała — zawołała:
Pójdź Czumaku, pójdź do chaty
Wymyć lico, zmienić szaty.

Pilnuj matko krasy swojéj—
Lub rodzonéj siostry mojéj,
Drobne deszcze mnie obmyją,
Czarne ciernie włos rozwiją,

A osuszą blaski zorzy,
Bujny wiater włos ułoży.

Dla Czumaka, dla kozaka,
Dla stepowéj hardéj duszy—
Dość powietrza, a jak ptaka
Wiatr go myje, słońce suszy.

Teofil Lenartowicz.

O POEZYI.

(Artykuł nadesłany z Krakowa.)

W świecie całym człowiek tylko rodzi się z wiedzą swego pochodzenia. On jeden tylko mocą téj wiedzy odnosi się do swego początku, i stosownie do tego w doczesnym oznacza się świecie. Przyrodzona ta siła człowieka, któréj mu nikt nadać ani odjąć nie może, która rzetelnie treść jego istoty stanowi, wrodzona niejako iskra własnéj świadomości, jest powodowością całéj jego objawy we wszelkich jéj kierunkach niewyczerpanéj rozmaitości. Głos to samego Boga w piersiach człowieka żyjący—siłę tę potężną, boską, wieczną, łączącą człowieka świadomie z Niebem, nazywamy Religią; a zaś oznaczenie się w téj świadomości, życiem. Religia jest, że tak rzekę, instynktem wieczności człowieka, podług którego świadomie bytować i byt ten naturą tejże wieczności oznaczać może. Wszelka świadoma objawa człowieka ma wieczność swojém źródłem, wszelki kształt téj objawy, jaśnieje życiem, duszą zaś tego życia jest Boskość, którą jako jaśniejącą wieczność śród doczesności, poezyą nazywamy. Reli-

gia jest wiecznością, życie jéj wypływem, a poezya nieujemną tegoż wewnętrznością czyli duszą.—Jako dusza i ciało działalnością objawione stanowią człowieka, tak poezya jako dusza jednocząc się z życiem jako ciałem, stanowi całość pięknością zwaną. Poezya jest boską, przeto ożywiającą iskrą wszelkie kształty; jest niewyczerpaną potęgą twórczości, istnym urokiem wieczności, dostojną córą Nieba. Nie można jéj oddać w całości żadnym kształtem, żadném słowem, ale czuć, myśleć, pojmować ją można, i stosownie do tego zapełniać nią świat swojéj pojawy, wysnuwać życie wieczności, objawiać piękno. Poezya niebem jest wieczności, które otwarte jest dla człowieka, ile razy świadomością ożywiającéj go wieczności, wzniesie się do niego— a wtedy niebo to twórczością swoją ożywia człowieka, wtedy człowiek stwarza, dzieło wychodzi na jaw, poezya przemawia zeń życiem, a całość, to jest względna doskonałość tem życiem objęta, jest pięknością. Zaród Boskości poezyą zwanéj w głębi ludzkiego spoczywa ducha, jest ona ocknięciem się jaźni jego w nieśmiertelnym swym pierwiastku, jest spójrzeniem duchowego oka w krainę wieczności, przeczuciem i wysnuciem nieśmiertelności, przeto duszą wszelkiéj pojawy, wynikłéj z takiéj to świadomości. Człowiek każdy, obraz i podobieństwo Bóstwa, jest istotą religijną, każdy więc piastując w łonie swojem zaród poezyi, jawi się życiem jako piękność, i każdy za pięknem gonić i jego urokiem karmić się musi. Wszakże pojawa ta jako doczesność ograniczona czasem i przestrzenią, staje się wielością, która w treści jedna a w objawie różna, stopniowanie się tegoż życia za sobą pociąga i względnie do tego różne dostaje nazwy.

Wieczność i doczesność, dwa przeciwległe bieguny jednéj całości będąc w sobie bezwzględną jednią, muszą w oderwaniu względną stanowić różnią. Jedno i toż samo Bóstwo w pełności życia swego jest wiecznością, jednością, całością—życie to w objawie doczesnéj nieprzestając być jednością, staje się wielością, rozmaitością. Naturą doczesności jest wielość, różność, rozmaitość, a to właśnie stopniowanie się siły żywotniéj niewyczerpanie, coraz obszerniéj i świetniéj o jéj wieczności dowodzi. Z tego to stopniowania się życia w czasie i przestrzeni świat cały się składa, ztąd i natura zewnętrzna i ludz-

kość w swéj działalności nieskończoną jest rozmaitością, ta zaś chociaż w gróncie jedną siły Boskiéj pojawą, względnie jednak do siebie stosownie do czasu i miejsca zupełną różnią. Przymiot wieczności oznacza się tu jako nieskończoność, a z połączenia tych dwóch momentów wypływające życie niewyczerpanym jest postępem, co właśnie jego świadomość i tę cudowną łączność wieczności z doczesnością stanowi. Natura cała oddycha życiem; wieczność jako materya jest jéj nieoddzielną wewnętrznością, przez którą harmonijnie w nieprzeliczonych porusza się kształtach; wieczna jedność tego ruchu jest jéj duszą, boskością, poezyą, która pomimo ciągłéj przemienności kształtów pięknością życia przemawia. Życie zatém, nieujemna objawa Boskości jest pięknem w naturze, bo to jéj całością, a zaś pojedyncze kształty, téj całości ruchliwa pojawa, znikome, zmienne, doczesne, nie są pięknością, bo są tylko bytem kształtującym się w życie. Owoż pierwsza piękna pojawa jako ogół mocą ożywiającéj go myśli Boga, kształtując się bytem w życie, czyli nieświadomością w świadomość, koniecznością w swobodę, jawi się w ludzkości jako połączenie tego dwojga, jako ogół i szczegół, jako konieczność i swoboda, wieczność jako duch w pojawie.

Idea ludzkości jako duchowa świadomość w pojawie, jest ogółem wyższéj potęgi życia, bo życiem wiedzy i swobody; wszakże mieszcząc w sobie nieświadomość i konieczność natury stającéj się dopiero wiedzą i swobodą, w tych chwilach właściwego a samowolnego ruchu naturą swéj Boskości pojawić i postępnie ją rozwijać może. Dla tego ludzkość, pojawa ducha wieczności, mieści w sobie niewyczerpany zaród życia, które jako ożywiającą ją Boskość z ogólnéj świadomości staje się szczególną, i stosownie do tego przemiennym materyi bytem, i boskiém wieczności życiem, każdą swą obecną zapełnia chwilę. Ludzkość cała nieprzestaje być nigdy żywym Boskości wyrazem, właśnie dla tego że przyrodzony ten zaród wieczności staje się świadomością szczegółów, które względnie do ogółu tém są czém jest ludzkość względnie do materyalnéj natury. Świadomość ogólna ludzkości jest religią—jest tą cudowną siłą Boską, mocą któréj ludzkość postępowe objawia życie, a zaś szczególna świadomość, łącznia

wiedzy i wolności zarazem, jest poczuciem się w wiecznym swym pierwiastku, w Bogu, i stosownym tegoż poczucia wyrazem w życiu. Z pierwszéj wypływa ogólny ludzkości wyraz historya, z drugiéj zaś piękna owa niebiańska dusza świecąca boskością równie w głębi téj przeszłości historyą zwanéj, jak i w teraźniejszości z któréj ta przeszłość powstaje. Każda więc obecna chwila, jako nieprzerwana pojawa ludzkości, jest stopniowaniem się wieczności, która sama w sobie jako jedność i całość, w czasie i przestrzeni zaś jako wielość i różność, jako postępowo rozwijające się życie, wszelkie kształtowanie się człowieka za sobą pociąga. Dla tego jeden i tenże sam zaród życia jawiąc się jako ogół, kształtuje się bytem, który mocą ożywiającéj go boskości w wyższe zbierając się potęgi, staje się życiem, to jest wolnością i świadomością, pociągającą za sobą mniéj świadomą objawę bytu do wyższéj świadomości, skąd równoczesna świadomość i nieświadomość, wolność i konieczność, byt i życie, proza i poezya, wieczność i doczesność wypływa — to zaś wszystko względna tylko różnia, w gruncie zaś żywe świadectwo wszechmocności bóstwa wyświeca. Świat cały będąc jakby wyłanianiem się nieprzebranéj twórczości Boga, jakkolwiek różny co do części swoich, jeden jest co do treści, którą nic innego być nie może, tylko pełna Boga wieczność. Każda więc chwila jest téj wieczności pojawą, a zatém każda obecność wszechświata jest wiecznością i doczesnością zarazem—wiecznością jako jednia, a doczesnością jako różnia, co razem wzięte jest całością czyli życiem. Gdzie życie tam i piękno, a że piękno w swéj pojawie poezyą tylko żyć może, przeto poezya jedna jak Bóg, jak On wszechobecna, duszą jest wszelkiego życia, z nim razem się stopniuje jest wiecznością, przeto całą zapełnia doczesność.

Poezya niebem jest wiecznie żyjącéj istoty człowieka i stosownie do świadomości jego pod tym względem roztwierają mu się coraz więcéj jasności Nieba aż do wszystko obejmującego przybytku Najwyższego. I trudno, ściśle rzecz biorąc, oznaczyć granice między poezyą, a prozą, jak trudno pociągnąć graniczną linią między ciałem i duchem. Jak nie masz ciała bez duszy tak nie masz objawy gdzieby choć mały promyk téj siły boskiéj w głębi bytującéj nie istniał rzeczy. Wszak-

że ułatwiając rzeczy pojęcie, dzielimy myślą świat objawy na byt i życie, to zaś na prozę i poezyą: Daléj wiodąc myśl tę wyświecić się musi, że wszelka objawa równie w naturze materyalnéj, jak w świecie człowieka bez żywéj świadomości wynikła, prozą jest, a zaś przeciwnie świadoma z siebie objawa, poezyą będzie *). — Ogół ma myśl Boską swoją świadomością, ogół jest zawsze objawą piękna, chociaż szczegół ogółem tylko będący, prozaiczném będzie bytem. Ogół jest pewną koniecznością, ale koniecznością wypływającą z wolności; konieczność nie ma własnéj świadomości, ale jest jéj upostaciowaniem; wolność jest świadomością siebie, przeto wypływem życia, twórczynią piękna—wszystko co się w swéj wolności poczuwa, jawi się życiem czyli pięknością, która z wolności poczęta w wolności tylko odbić się może—życie poczuwającego się w sobie szczegółu jest pięknością w sobie; życie zaś ogółu, wyraz zastygły indywidualnéj świadomości, o tyle jest piękne, o ile się zleje z swoim początkiem, o ile ożyje w świadomości z któréj wyszło. Natura, ludzkość, naród, człowiek--to ogólniki objawy wieczności—życiem ich Bóg. Ogólne te całokształty wszakże nie byłyby odbiciem żywéj boskości, gdyby się nie koncentrowały w swéj sile żywotniéj, gdyby nie ożyły w tym punkcie wieczności z któréj wyszły, wychodzą i wychodzić będą—byłyby martwą, nieruchomą, *toż*-samą wiecznie zakamieniałością. Siła żywotnia, Boska, wieczna, staje się także świadomością upostaciowaną, w niéj zbiera się życie wszechświata i nakształt słońca żywotnym ruchem wszechświatu przyświeca, tak że i natura i ludzkość i naród i człowiek, jakoby kwiat wieczności w ciągłym jest rozwoju, pojąć nektarem swoim źródło swego pierworodu w coraz obfitszych stąd tryskające falach. Źródłem tém jest świadomość siebie pod względem życia, a duszą nieodłączną téj świadomości poezya, którą wszystko oddycha. Natura żyje i dla tego jawi się pięknością swych kształtów, ale nie mając świadomości swego życia, dopiero w człowieku staje się piękną, w którym staje się wiedzą, przeto życiem i pięknością. Jakoż dusza poety w naturze samo spostrzega życie, bo oko jego jest

*) Myśl głęboka, myśl prawdziwie piękna, godna wszelkiego zastanowienia i wyczerpującéj rozwagi. *(Przyp. Redakcyi.)*

okiem wszędzie żyjącéj wieczności. Nie masz dla niego martwéj, znikoméj materyi, ani obojętnych potrzebowych kształtów, ale wszędzie życie i piękność. Dla niego nie masz już żywiołów ścierających się z sobą przemiennością materyalnych kształtów, ale jedna Boskość w nieprzebranéj rozmaitości. Ona to jako niebiańska harmonia tysiącem różnych dźwięczy mu tonów; słyszy ją w ryku burzy, w szmerze strumyka i powiewie zefiru; widzi ją w łonie buchających wulkanów i połysku kwiecistéj łąki; rozumie głos gromu, szum lasów i szczebioty ptasząt—rozmawia z echem i wonią róży, pojmuje dumania starych dębów i nogą ludzką nie tkniętych pustyń. W nim ożyła natura i zakwitła mu poezyą i dla tego wszędzie mu życiem przemawia. Taż sama poezyi siła ożywia mu ludzkość w jéj historycznych ruchach, i człowieka w jego kształcie i czynach—już on nie widzi owych przypadłości ziemskich, nałogowych, zwierzęcych, ale wszędzie idea wyraz boski w tysiącznych grający tonach—poezya uśmiecha się doń życiem równie w naiwnéj dziecka prostocie, jak w wypadkach postać świata zmieniających; równie w rzewnym łez potoku czującego serca, jak w niszczących zapasach burzliwych namiętności—bo to wszystko jedność wieczności, w poezyi niebie tryskająca rozmaitością doczesności. I nie dosyć że poecie świat cały jawi się pięknością, ale w wnętrzu jego piękniejsze bytują światy, pełniejsze zakwita życie: w głębi téj rozbudzonéj świadomości twórczość samego spoczywa Boga, i blask niebiański jaśnieje. Stąd wszystko nowe i doskonalsze w postaci wypływa sztuki, stąd i piękność z poważném prawdy i prawda z powabném piękności przemawia obliczem, pociągając swém życiem wieczności całą doczesność, a poezya, dusza tego życia jak Bóstwo wcielone, pociąga za sobą w piękniejszych cało-kształtach i naturę i człowieka, powtarzając widzialnie ciągły rozwój czyli stwarzanie świata.—Jak świat cały w nieskończoności swojéj objawą jest wieczności, tak poezya objawą jest nieba, czyli jasności tego życia, co boskością zowiem. Jako taka musi być wszechobecnością, to jest duszą całéj objawy. Myśl ta jest prawdą wyrytą w głębi czującéj się świadomości, równie jak wszechobecność Boga, pewnikiem jest przyrodzonym ducha ludzkiego. Przecząc jednemu, zaparlibyśmy drugie,

co niepodobna dla prostego nawet rozsądku. Wszakże poezya zanim stanie się świadomością, zanim tryśnie swém życiem z duszy natchnionego poety, stopniować się musi wraz z stopniującém się życiem wszechświata, i wzrastać jak człowiek, jak wszystko wzrasta. Nikt dziecku nie zaprzeczy istoty człowieczéj, chociaż wielce się różni co do objawy swéj od dojrzałego męża—dziecko człowiek, jak mąż dorosły dziecko żyje w gruncie jednym i tym samym ogniem, tylko w niższym stopniu. W mężu dojrzałym zaród życia zakwita świadomością, i to go różni od dziecka w świecie objawy, bo w świecie wiecznym, który obydwóch istot jest treścią, jedna jest życia możebność, jednéj natury, choć nie jednéj potęgi, co w gruncie ani ich winą, ani jest zasługą. Gdyby poezya ożywiała tylko duszę poety, którego talent przyrodzonym jest darem, więc życie w którem się ona pojawia byłoby istną przypadkowością, pewną bezcelnością, nie wpływającą wcale na innych nie mających równéj talentu siły. Piękno objawy byłoby albo martwą przypadkowością, albo istnym przywilejem nie wielu, jak gwiazdki orderowe lub kast odznaczenia. Że tak nie jest, poucza nas samo doświadczenie, bo piękno ma swe korzenie w duszy każdego, i każdy je sobie realizuje stosownie do potęgi swego życia—poucza nas daléj myśl życia jako nieprzerwanego wieczności płynu, którego piękność jest kwiatem, a które wszędzie i zawsze jedno, w różnéj tylko objawione sile, poezya duszę swą mieć musi. Gdy więc od nieorganicznéj natury aż do człowieka, od niedojrzałych okiem atomów aż do mnogości *ludem* zwanych; od zwierzęcia aż do samodzielności świadomego siebie rozumu, miliony przesuwają się kształtów nieskończenie różnych i w pewnym sposobie samoistnych, tak że właściwego im życia odmówić nie można, a wielka między niemi pod tym względem zachodzi różnica; to z pewnością twierdzić możemy, że życie jako jedność wieczności jawi się jako różnia w doczesności, więc i poezya tą różnią objęta w punkcie świadoméj sobie wieczności, jest życiem zdjętém niejako z wszystkości, a stąd pożywną dla wszystkości treścią, czyli jéj blaskiem. Że nie każdy jednako pojmie myśl poety, nie idzie zatém, żeby to co myśl w objawie zrobiło piękną, nie istniało w duszy każdego, ażeby istniejąc nie czyniło go w pewnym względ

dzie uczestnikiem piękna w ogóle, i objawicielem tegoż w szczególe. Rozmaitość wielka tak stopniującéj się poezyi zapełnia właśnie tę przestrzeń ogromną od nieświadomości do świadomości, od natury do człowieka, a od tego do Boga, że nigdzie przerwy życia, nigdzie właściwie braku piękności, ale tylko porównawcza doczesności różnica stosownie do pojawionych kształtów różne za sobą pociąga nazwy, jako to: doczesne, wieczne, żywotne, bytujące, prozaiczne i poetyczne. Stosownie do tego widzimy poezyą wszędzie różnym życia połyskującą promieniem, chociaż ta w niewielu indywiduach staje się żywotną świadomością. Jak życie wszechobecnością swoją jest powodowością wszelkiéj pojawy, tak i poezya, nierozdzielna dusza życia, jest wszechobecną. Lecz jak wszechobecność życia jawi się tylko wszystko obejmującemu oku pełnéj świadomości, tak i poezya niebiańską jest jasnością takiemu tylko oku świecącą. Ona jest jak bóstwo w człowieku żyjące: jedni szukają Boga w kościele, drudzy w naturze, inni widzą go tylko w sobie; znów inni oznaczają mu tylko niebo za przytułek—lecz są i tacy co Go widzą wszędzie, chociaż go żadną formą objawy wypowiedzieć nie mogą. Jakkolwiek różne sposoby widzenia, jedna wszakże przez to jawi się prawda, prawda, któréj nikt zaprzeć i z głowy człowieka wyrugować nie może: jest Bóg. Podobnież dzieje się z poezyą; jakkolwiek małe może być kółko jéj objawy, nie znajdziemy wszakże ani człowieka, ani czasu, ani miejsca, gdziebyśmy w gruncie bytującéj rzeczy jéj boskości zaprzeczyć, przeto poezyi nie widzieć i właściwego piękna obrazu nie mieli. Jak wszystko co jest i być może, boskiém jest chociaż jeszcze nie Bogiem, tak we wszystkiém co boskie jest poezya, chociaż nie wszystko jest poezyą. Jak dusza i ciało nierozdzielnemi chociaż różnemi są momentami każdéj całości, tak wieczne i doczesne dwoma są momentami wszelkiego zycia pojawy. Doczesne zmienne zawsze, jest chwilowym bytem; wieczne jednością niezmienną.—Doczesne nie jest życiem jako takiém, ale jego formacyą widzialną czyli świadectwem; wieczne jest życiem bez przerwy będącém, ale w doczesności tylko całością, czyli rzeczywistością. Wszechobecność poezyi w takimto obrazie łatwo się pojąć daje, również łatwo przeciwne usprawiedliwiają się

mniemania: bądź życiem świadomém siebie, to jest: czującą się wiecznością, a wszędzie ją znajdziesz, w przeciwnym razie okiem doczesném na świat poglądając, samą tylko prozę, samą odkryjesz znikomość, chociaż sam mimo woli i wiedzy nie zatrzesz w sobie piętna wieczności dla poglądającéj na cię Boskości.

Życie jest całością, piękność barwą całości, doskonałość zaś wewnętrznym przymiotem czyli wiecznością tego. Wieczność ta co poezyą zowiem własnością jest człowieka, w jednym możebnością, w drugim czynnością—nie zaś dowolną słów igraszką, jak niektórzy twierdzą, albo ulotnym bez treści dymem. Jak Bóg bez świata byłby martwą tylko myślą, tak świat bez poezyi byłby światem bez Boga, przeto istnym nicości smętarzem. Chcąc się o téj prawdzie przkonać zejdźmy na chwilę z ogólnego stanowiska do szczegółu, uważmy go w zupełném od całości odosobnieniu, przedstawmy sobie w zupełném oderwaniu moment obecnością zwany, a w nim doczesność za ukończoną całość—czyli inaczéj mówiąc, wystawmy sobie sam byt, samą tylko prozę życia—jakoż to okropny oczom naszym przedstawia się widok! Od nieorganicznéj materyi do zwierząt, od tych do człowieka, od człowieka do całéj ludzkości samą tylko niszczącą, ślepą, bezrozumną spostrzegam siłę, któréj dziełem zniszczenie i śmierć. Natura cała jest nicością w proch rozwianą, jéj twory niszcząc się wzajem, szalonej fatalności igrzysko, jedną tylko fermentującą stają się materyą, wściekłą, niszczącą siłą, jéj pastwą i celem. I człowiek równy zwierzęciu karmi się całą naturą, aby chwile bytował, bytuje, aby się karmił, a karmiąc się powtarza dzieło zniszczenia całéj przyrody, stając się prochem i zgnilizną. Ludzkość cała jako doczesność jest grobem wiecznie się otwierającym, żywym śmierci obrazem. Owoż realność czyli proza życia w swojéj nagości! a czy doczesność tę w ogólnych czy w szczególnych i pojedynczych zechcemy uważać objawach, wszędzie jednaki pojawi się obraz, wszędzie ślepy przypadek, nierozumna fatalność, żelazna konieczność, ruch bezdusznéj maszyneryi *). Zaiste

*) Nie zawsze! Inaczéj *realność* pojmował *Goethe*, chociaż pojmował a razéj przeczuwał *poezyę* w rozumieniu autora i miał tyle spółczucia dla Szyllera. (*Przyp. Redakcyi.*)

świat bez poezyi jest martwą bryłą, ciałem bez duszy, gnijącym trupem. Stan taki zaledwie chwilową przypuszczony myślą, rozwidnia się życiem za połyskiem poezyi, życiem—jak przyroda za połyskiem słońca. Poezya jest światłem rozpędzającém nocne ciemności, a promień jéj przenika wszędzie i wszystko ożywia *). Pod szatą znikomego doczesności bytu, niezmienna żyje wieczność, ona to potęgą Boskości swojéj panującym jest jedności tonem wśród pozornego świata rozstroju, ona tym niewidzialnym, ale nieprzerwanym całości spojem, składającéj się z nieprzyjaznych sobie sprzeczności, ona owym nieprzebranym rogiem obfitości strojącym w kwiaty przyrodę, napełniającym człowieka roskoszą i szczęściem, pojawiającym wielkość i doskonałość nieobjętych kształtów i nieograniczonym postępie. Wieczność ta w punkcie świadomości człowieka jest gorejącém słońcem, niebem, Bóstwem, przed którego obliczem żyjąca tylko bytuje wieczność, a tą jest poezya. Świadomość ta sprawia, że człowiek czując się wiecznością, wszędzie jéj szuka i używa—ona to wielkim wyrazem ludzkiego oznacza się szczęścia i bezmiernością swoją niebo i ziemię, przeszłość i przyszłość, doczesność i wieczność zajmuje. Jéj to niewysłowny urok przywiązuje człowieka do życia ziemskiego mimo ostrych cierni i głogów, uśmiechając mu się powabem nadziei. Ona to jest właściwie zrealizowaniem tego, co kto pięknem zowie, niewyczerpaném zdrojem słodyczy w najrozmaitszych życia kierunkach—ona uczuciem przyjemności, roskoszy, sławy, bodźcem i duszą wszelkiéj działalności, wszelkiego szczęścia. Od pozioméj rolnika strzechy aż do błyszczących pałaców głów koronowanych przemawia ona jednym szczęścia głosem, chociaż w różnéj mieści je objawie—równie tu jak tam wysuwa właściwe koło działalności, zapełniając je niejako sobą, świat piękna na jaw wychodzi—tu ubóstwo, tam przepych, tu prostota, tam zbytek, tu spokojność, tam żądza namiętności odmiennemi wprawdzie co do objawy otaczają się rzeczmi, ale w gruncie jedna ta siła w swém stopniowaniu dała powód tym rzeczom i pięknemi je zrobiła. Poezya to błyszczy pięknością w saméj zmienności pojawie, jaką jest moda realizując się w obrazie zwyczajów; ona jest

*) Szyller.

krasą obyczajów, promienistym brylantem charakteru i tą siłą poświęcenia się za dobro przyszłości, tém źródłem nieśmiertelnych czynów, co jakby gwiazdy błękitu błyszczą boskością w dziejach ludzkóści. Poezya jest rozkoszą, przyjemnością, szczęściem—nektarem przyrodzonym serca ludzkiego, poi ono się nim po swojemu, zbierając go po przedmiotach wszechświata, jak pszczoła słodycz po kwiatach, i niewyczerpany zdrój ten jak wieczność nietylko w obecności tryska, ale w przedświecie i po-za świecie, bo on jest nami samymi, duszą tego co się w nas życiem poczuwa i życiem objawia. Któż nie goni za szczęściem, któż go nie pragnie i nie realizuje? ale któż wyliczy te rozmaite drogi i powstające stąd życia objawy? cóż nie wchodzi w skład tego-to ruchu? niebo i ziemia, słodycz i gorycz, śmierć i życie, łzy i uśmiechy—słowem wszystko bez wyjątku, a to w końcu w jednym koncentruje się kierunku, co nasz poeta tak trafnie oddał: Człowiekowi i w szczęściu zawsze czegoś trzeba—i wtedy tylko błogo, gdy westchnie do nieba. (Marya Malczewskiego) Bo to wszystko rozwinięte w nas niebo, potęga ożyłéj boskości, czyli poezya. Zaiste, niebo początkiem, dążeniem i końcem człowieka. Niebo to w nas będące, poezyą zwane, jest ciągle przyświecającém słońcem na horyzoncie życia. Zaraniem téj boskości żyje już w pierwociu naród każdy w pierwszéj swéj świadomości—stąd poezya ludu. I każdy czyn wielki jest wspaniałym tego słońca wschodem—sztuka jego gorejącém południem, a cnota w absolutném swém znaczeniu, religia w pełnéj swéj świadomości, jest całodzienną słońca tego pogodą. Tak poezya jako dusza życia, kształtuje wszelką jego objawą pięknością, nie jest wyłącznie własnością przyrodzonego talentu, ale zarodem boskości w piersiach każdego człowieka, i każdy stosownie do swojéj w téj mierze świadomości czuje ją i objawia, i przez to tylko człowiekiem się zowie. Poezya jest cudownością religii—przeto wszechobecnością w świadomości człowieka, i względną tylko różnią w czasie i przestrzeni, równie jak obrzędy religijne różne są, chociaż w gruncie jedném są Boga przeświadczeniem.

Tak więc poezya wszechobecnością swoją cały zakres ludzkiego zajmując życia, jest obecną w nas boskością, równie jak religia z któ-

réj wypływa. Lecz jak religia w punkcie swéj świadomości tylko nowém objawia się życiem, tak i poezya z téj tylko wschodzi świadomości i życie to pięknèm robi. Z milionów bijących czołem przed Najwyższą istotą, zaledwie kilku posiada świadomość siebie w téj mierze, zaledwie kilku poczuwa Boga w sobie i należną mu cześć oddaje. Ale życie na posadzie religijności nieustannie płynie, nieustannie oznacza się objawą, i niezatartém piękności błyszczy promieniem. Świadomość z nieświadomością łączą się tu w pewną całość i reprezentują nigdy nieustającą wieczność i doczesność. Z tego to powodu byt i życie, proza i poezya jakby dusza i ciało całość objawy stanowią, w oderwaniu sprzeczną są różnią, a zaś w gruncie jednym są życia obrazem. Obraz ten w najogólniejszéj swéj całości piękny jest, bo w każdym punkcie pojawy swojéj jaśnieje boskości potęgą czyli poezyą—wszędzie uderza życiem, owym nieba obrazem, czyli pięknością. Ale szczegóły tego obrazu, jakkolwiek niezbędne całości cząstki, o ile samodzielności pozbawione znamion, nie są piękne, bo to nie życie, tylko bytująca forma, czyli kształtująca się materya w całość; nie wyraz, ale jedna jego głoska, nie życie ale jego powłoka, nie całość ale cząstka całości. Podobnie obraz na płótnie może być piekny, jeżeli go poezya ożywia, ale części pojedyncze do składu jego całości objawionéj wchodzące, jako to: płótno, farby, ramy i t. p. nie są pięknèm bo to materya budowy. To co obraz pięknym robi, jest myśl czyli dusza w samodzielną kształtujące się całość, przemawiająca wiecznością za pomocą doczesności. Obraz cały jest tu poezyą, chociaż żadna część nią nie jest, bo poezya jawi się tylko w całości, jako boska siebie świadomość czyli doskonałość. Życie codzienne pełne troski, znoju i monotonności, nie jest piękne, nie ma w sobie nic poetycznego, bo to część człowieka, życia warunek. I wszystko co tego bytu składem, prozą jest, jak sam byt materyałem czegoś innego wyższego. Ludzie zmysłowi ruszający się tylko machinalnie, nałogowo, bez świadomości swego ruchu, nie objawiają poezyi, chociaż są koniecznemi do jéj objawy warunkami. Oni ożyją w całości historycznéj, artystycznéj, towarzyskiéj lub umysłowéj człowieka świadomego, ich poezya stanie się tu świadomością, przeto pięknością, życia

obrazem. Ta nieświadomość wszakże jest tylko względną, małym promykiem jaśniejącego słońca, jest możebnością jako byt, porównana z czynnością jako życiem. Człowiek nieukształcony wiecznėm jest dzieckiem, lecz nigdy istotą znamion człowieka pozbawioną. Dla tego poezya małym tu błyszcząca promieniem, niknie wprawdzie przed pełnym jéj blaskiem, ale nie pociąga za sobą zupełnego boskości braku, czyli bezżywotniéj próżni. Jako ziemia w bryle swojéj różnėmi warstw pokładami się odznacza, które jakolwiek różnego składu, jednym są jéj życia materyałem—tak i ludzkość w ogólnéj swéj massie podobnemi co do życia kształtuje się warstwy, które różne co do objawy, jedne są co do pierwiastku, całéj rozmaitości życia są stopniowaniem. Całość ta duchem Bożym ożywiona, nigdy znamion jego nie traci, ale pojedyncze części jakby ogniwa tego łańcucha, wtedy go tylko pojawią, kiedy się także blaskiem całości okolą, kiedy poczuwając się w téj całości stają się udzielnemi w sobie światy, kiedy nie przestając być ogniwami całości, żywą stają się całością, objawiającą się wiecznością śród doczesności. Wszelka stąd życia pojawa będzie pięknością, a to co z téj pojawy pięknością przemawia, ów porywający urok w światy wyższe, nie wcielone, nie objęte, a jednakże w głębi istoty naszéj, istniejące—to poezya, dusza pięknoty.

Byt nasz doczesny, owa drobiazgowa zabiegliwość interessów materyalnych, ów ciemny padół dolegliwości fizycznych, cierpień moralnych, lub nużącéj i obojętnéj tożsamości, zdaje się być samą prozą, nie mieć w sobie nic poetycznego, nic boskiego, zdaje się być jakby ciągłém przygotowaniem do podróży, ciągłą walką z jéj przygodami, albo nudnym w jéj ciągu popasem. Przydajmy do tego nędzę, choroby, głupotę i kres nieochybny tego wszystkiego, śmierć—grobowe milczenie i niepamięć świata, téj przykréj życia przeprawy—a będziemy mieć obraz znikomości, zupełnéj prozy, bryłą bytującéj materyi. I trudno przyznać, żeby w tém była poezya, jak trudno byt taki nazywać życiem. *) Aleź w tym rozdartym, rozdrobnionym życia materyale, nie

*) A jednak Szekspir, Bajron, Gette, *Jean Paul* i t. p. udzielili tu życie i głęboko ludzkie życie, które istotnie tli się jak iskra w zimnym popiele prozy i nudów, głupstwa i złości. (*Przyp. Redakcyi.*)

zatarte nieba tło się przebija, pogoda jego rozjaśnia wnętrze każdego, jest przyrodzonym serca głosem, religią się zowie i potęgą swoją wznosi człowieka nad te wszystkie czasu przypadłości, niesie mu nadzieję w rozpaczy, szczęście wśród cierpień i życiem z samego zakwita grobu. A w czyich piersiach słońcem świadomości zajaśnieje, tego samo okoli życie, a noc padołu płaczu w radośny dzień wesela się zmjeni. Poezya wtedy stanie się rzeczywistością, a wszystko rzeczywiste będzie w części poetycznem. Pełnia ta życia naszego własną jest samodzielnością, od nas zupełnie zależy, i naszą godność, sławę i szczęście stanowi.—Lecz jak wszystko stopniami się rozwija i wzrasta, tak i poezya, zanim stanie się życia naszego władczynią, częścią nas samych potrzebuje własnéj pracy, podniety i starania—co w dalszym rzeczy zobaczymy wywodzie.

J. Bentkowski.

POGANKA.

Jedna z powieści przy kominkowym ogniu opowiadanych.

Wyobraźcie sobie państwo zieloną oazis w pustyni Sakari, wyobraźcie w świecie dzisiejszym, w świecie złota, srebra, miedzi i gałganów na bankowe papiery przerobionych, rodzinę liczną, ubogą a szczęśliwą—w téj rodzinie—lat temu dwadzieścia sześć, o godzinie pierwszéj po północy, przy najpiękniejszym świetle księżyca, pełnią swoją rozświecającego najpiękniejszą noc sierpniową, urodziło się dziecię płci męzkiéj, dziewiąte z kolei — a rzecz dziwna, rzecz nadzwyczajna, przyjęte taką radością, takiém błogosławieństwem, jak upragniony pierwszy potomek gasnącego już imienia, oczekiwany

dziedzic wielkiego majątku—lecz nie—bluźnierstwem jest to porównanie—dziecie przyjete taką miłością jak wszystkie dzieci w miłości zrodzone—tem dziecięciem ja byłem.—Nad przygotowaną dla mnie kolebką nie zaciężyła żadna kolebka; ni to starszéj siostry, że w domu nowy kłopot będzie i nowych trudów się przysporzy, ani dobiegającego swej młodzieńczości brata, że mu jedna ręka więcéj do rozszarpania spodziewanej puścizny przybędzie, ani drobniejszego rodzeństwa, że się zaczną dla niego chwile przymusowéj cichości—narzuconego rozsądku, uskąpionych pieszczot—ani matki że z danêm życiem jéj życia się ujmie,—że ją noce bezsenne, karmienie, praca hodowania czekają—ani ojca nawet że ciężkie czasy, że wychować będzie trudno, że na obmyślenie zawodu, sił i sposobu już nie wystarczy—dziwna rzecz, stokroć dziwna, tego wszystkiego nie było.

Matka z siostrami ze staréj bielizny poszyły pieluszki moje.—Jeden z braci na niespodziewankę uplótł zupełnie nową kołyskę, a ojciec, kiedy mnie poczciwa babka na pokazanie w poduszce przyniosła, przeżegnał mnie krzyżem świętym.—„Oto człowiek światu się narodził,” rzekł tylko i ze łzami w oczach a z uśmiechem na ustach poszedł co prędzej do żony swojej, pocałował ją w czoło, pocałował ją w rękę i nieodszedł aż póki osłabiona, lecz ciągle niewymownej słodyczy jaśniejąca radością, z nowo narodzonym przy boku, nie zasnęła spokojnie.

I takie były moje narodziny—przez długi czas nie miałem imienia: zwano mię tylko maleńkim—synkiem—pieszczotką—a narady odbywały się długie jak zwać miano na później.—Teresia, moja mała poprzedniczka w rodzeństwie, załatwiła wszelką watpliwość; kiedy jéj na starych obrazkach opowiadał jeden z braci historyę synów Jakóbowych, tak się rozmiłowała w małym Beniaminku, że gdy wieczorem wznowiono o wkrótce nastąpić mającym chrzcie moim rozmowę—dziewczynka siedząca w téj chwili nad kołyską, uroczyście wzniosła swój paluszek do góry i powiedziała stanowczym głosem:

— Ty maleńki będziesz Benjaminkiem.

Od tej chwili nadano mi imię Benjamina.

Poczciwa Teresia! zapomniano jej powiedzieć, że Benjamin pierwszą wolą matki swojej zwał się Benoni, a Benoni to znaczy „syn bo-

leści" a matka moja, rodzeństwo moje pochwyciło wyraz dziecięcia, bo im do serca przypadał a ojciec go zatwierdził, bo takie było miano jego wielkiego bohatéra—jego ideału wśród sławnych mężów—Franklina.—Z téj czci dla Franklina możecie państwo odgadnąć cały charakter mego ojca, jeśli tylko trochę choć biegłemi jesteście w zauważaniu tych stosunków tajemnych a zawsze logicznych, które upodobania i różne sympatie człowieka z treścią jego własnéj natury łączą.—Co do mnie taki mam w tym względzie przynajmniéj niechybny instynkt, że raz gdym w galeryi Luwru widział pięknego młodego człowieka jak się długo a z najspokojniejszém obliczem zatrzymał przed Katonem Velasquz'a, co sobie piersi tak krwawo, tak okropnie rozdziera—powiedziałem zaraz—to zły człowiek—i sprawdziły się słowa moje—ten człowiek był anatomem ludzkiego serca, spotkałem go późniéj na salach sądowych ciekawym bardzo widzem, a w ostatniéj chwili świadkiem przeciw obwinionemu—na moje sumienie wierząc obwinionemu niewinnie.—Lecz wracając do osobistéj biografii, już wiecie pod jakim wpływem—w jaką atmosferę niejako dostałem się na tę ziemię—zstąpiwszy według dawnych—wstąpiwszy według nowszych—a odrodziwszy się według najpodobniejszych do prawdy mniemań.—Jak mnie tak długo usypiano, pieszczono, kołysano bez mojéj wiedzy, jak ja rozwijałem się w tem cieple uczuć, w téj pogodzie szczęścia,—jak mi cała treść mojéj istoty nasiąkła niejako tą pieśnią miłości różno i wszechstronnéj—oh! gdybym mógł pamiętać—ale ja nic—nic nie pamiętam—a jednak to było już życie moje—to była już przyczyna jakaś późniejszych następstw, chwila rodzicielka wszystkich chwil, wszystkich lat moich.—Kiedy się pierwszy raz poczułem i obejrzałem na świecie, znalazłem już jéj owoc w głębi ducha mego i stał mi się tém, co nazywają skłonnościami, charakterem, naturą.—Każdy mnie kochał—ja się ocknąłem kochając każdego, ale to kochając tak niezbędną koniecznością organizmu, jak się oddycha, je—pije—przed kochaniem nie było dla mnie przeszłości, jak przed Bogiem, nie było początku—lecz nie dosyć na tém—ci wszyscy moi po za mną kochali jeszcze wszystkość w różnych objawach—w różnych jéj kształtach—a było coś pięknego, świętego w wyborze tych kształtów i tych obja-

wów—każdy coś kochał na swoję własność szczególną—tylkoż bierzcie to w dosłownem znaczeniu, kochał nie lubił.

Moja najstarsza siostra Julia kochała dumki ukraińskie — a mój brat Adam kochał niebieskie oczy córki bliskiego sąsiada— a mój brat Józef kochał ziemię któréj uprawą się trudnił, a moja siostra Ludwina kochała wodę bieżącą i kwiaty niezerwane—a mój brat Karol kochał psa, konia i strzelbę swoję dwururkę—a moja siostra Bronisia kochała gwiazdy i niebo—a mój brat Cypryan kochał obrazy—a moja siostra Terenia kochała powieści, a mój ojciec kochał książki, a moja matka kochała ludzi—i tak dla mnie piérwsze wrażenia z ich wszystkich ulubionych wrażeń się złożyły.

Najdawniejszy obrazek, w którym Julię pamiętam, to jakaś ławeczka drewniana pod otwartém oknem. Dzień był jakiś ciepły niby, ale taki pochmurny jak gdyby kto ołowiu po niebie rozlał.—Julia nad szyciem schylona śpiéwająca taką rzewną, takich przeciągłych a coraz smętniejszych tonów piosnkę—że widać nie mogły się w ciężkiém rozpłynąć powietrzu, tylko mi wszystkie siedzącemu przy jéj nogach o piersi się odbijały i zacząłem płakać. Julia spojrzała na mnie—przez chwilę umilkła, lecz w tém milczeniu, mój płacz cichy zrazu wybuchnął prawdziwéj boleści łkaniem, wtedy siostra przytuliła mi głowę do kolan swoich, upieściła gładzącą włosy ręką i znowu śpiewać zaczęła—a ja znowu zacząłem cichuteczko płakać i było mi z temi łzami tak dobrze, tak miło, jak nigdy z podarowanym przez starą piastunkę ptaszkiem—wesołą makolągwą—co do mnie w klateczce, na każdy widok skrzydełkami trzepotała.

Adama pamiętam najpierw, wchodzącego do pokoju z jakąś białą, biało ubraną dziewczynką.—Kto to jest? spytałem go.—To siostrzyczka wasza, odpowiedział z uśmiechem. — Nasza siostrzyczka Adasiu? powtórzyłem zdziwiony, a czemu ja jéj nie znam—gdzie ona była? —Ośmnaście lat temu była w niebie jeszcze!—Gdy zaś z niedowierzaniem patrzyłem to na niego, to na nią;—w niebie, rzekł znowu—spojrzyj tylko w oczy téj siostrzyczce, widzisz jaki to szafir jasny i czysty, czyż w dzień najpogodniejszy niebo inne bywa? Spojrzałem, dziewczynka zarumieniła się i głośno rozśmiała, ja wykrzyknąłem z rado-

ścią.—Ach prawda, takie same, Adasiu, jak oczy naszéj siostrzyczki.
—Nigdy nie mów naszej do mnie, Beniaminku—bo to twoja i wasza siostrzyczka, ale nie moja—pamiętaj, że nie moja.—To ty biédny Adasiu że masz mniéj od nas jednę siostrzyczkę.—Czy ja biédny? spytał brat odwracając się do białéj dziewczynki z uśmiechem, choć mu słowa na ustach drżały.—Dziewczynka owinęła się prawie jak kwiatek ślazowy koło ręki mego brata—głowę miała spuszczoną, a jednak bez namysłu, pewniejszym daleko niż głos pytającego głosem, odpowiedziała mu prędko.—Nie, ty nie biédny, ty bardzo bogaty Adamie.
—Ja szczęśliwy przydał, jak gdzieś na dnie serca wymówioném słowem i nie wiem czemu wziął mię na ręce a uścisnął tak tkliwym, tak drżącym, gdy dziś o nim myślę to mi wolno powiedzieć, tak namiętnym uściskiem, że go nawet spytać zapomniałem o wytłumaczenie dla mnie zupełnie niezrozumiałych wyrazów.—Późniéj—nawet niedługo—pojąłem całą świętość ich znaczenia.—W naszéj rodzinie miłość nie była ani tajemnicą towarzystw salonowych przyzwoitości, ani zgorszeniem przed okiem dzieci bacznie ukrywaném.—U nas miłość, to szczęście życia.—Ta najpiękniejsza prawda Boża szła z podniesioném dumnie czołem—wśród spółczucia, wśród uszanowania ogólnego serc życzliwych i przyjaznych.—Raz kiedy po przeczytaniu przez Waleryę poezyi Bohdana, Adaś zbliżył się do niéj i wziąwszy w obie ręce ową złotowłosą główkę, w same nieco otwarte usta pocałował, kiedy Walercia od czoła po ramiona tym całunkiem zakraśniała, kiedy mimowolnym rzutem przechyliła się ku siedzącéj obok niéj matce mojéj i skryła się jak ptaszek w jéj objęcia—toć ja dobrze dziś pamiętam jeszcze, nikt z nas się nie uśmiechnął nawet, nikt żartem chwili szczęścia kochankom nie rozstroił; Matka tylko Adasiowi znak dała żeby się schylił ku niéj, i trzymając ciągle Walerkę do łona przyciśniętą—na głowie schylonego tkliwy jakby powierzony tylko, a święty jak błogosławieństwo z głębi własnéj piersi wyciągnięty, złożyła pocałunek.

Józefa najstalszem przypomnieniem widzę wśród zniwiarzy na polu.—Śmieje się, snopki wiąże, na wyładowanych zbożem wozach z fornalami się ściga a na jeden wyładowany mnie winduje, i ja siedzę

przy nim jak na tronie, a on mi pokazuje ziemię, królestwo wszech ludzi, przyszłe państwo moje, które ja prawem natury odziedziczę, a w którém pracą rządzić będę—i nazywa mi wszystko ślicznemi słowy—żyto srebrem, pszenicę złotem—czerwieniejącą tatarkę purpurą; a ja mu wierzę że to jest właściwie srebro, złoto, purpura—że innych nie ma w świecie.—Józio po drodze zrywa dla mnie ukoralone już gałęzie jarzębiny, którą na kilka staj rodzice wysadzili gościniec—ja sam trzymam pęki uzbiéranych modraków—kąkoli—bratków—kłosów dojrzałych żyta—niedojrzałych owsa—i mieszane te białe i te zielone kity w różnych zastosowaniach—to między grona jarzębiny, to między modraków równianki—i czuję że mam wszystko—że natura w korzyściach—w pięknności swojéj, natura cała—natura zawsze moją, tylko sobie słowami tego nie mówię, ale uczuciem, czynem, chwilą w życiu mam.—

Ludwinę moją najmniéj ładną, najcichszą, najtęskniejszą z całego rodzeństwa siostrę, pamiętam najdokładniéj w obrazku, nad którym może najdłużéj, może najpierwéj główka moja rozmyślać zaczęła.—Przy końcu naszego sadu za rzędem wierzb bujnie rozrosłych, płynęła rzeczka maleńka—bezimienna, wązka, tak że się zdało przeskoczyć ją można, a czysta, a żwirem drobniuteńkim na dnie wysypana, że tylko liczyć, tylko zbierać jego ziarnka różnokolorowe—nad tą rzeką usiadła sobie Ludwina—tu przy brzegu przegięła się nieco, i w wodzie do połowy odbiła się jéj postać—a woda odbitą kołysała równie, ciągle spokojnie jak do snu.—Zmęczony bieganiem przykląkłem obok Ludwinki i zacząłem gałązką pluskać w srebrne kropelki.

Nie budź mnie Benjaminku—szepnęła tylko siostra—i to tak cichutkim głosem, że ledwo dosłyszéć mogłem.

— Czy ty spisz Ludwinko? spytałem.

— Śpię, śpię, braciszku, odpowiedziała jeszcze ciszéj, ale ja patrzyłem w jéj oczy i widziałem że oczy choć ku wodzie spuszczone, nie zamknięte, nie zaspane były.

— Oh! żartujesz zawołałem z pustotą, i uderzyłem jescze mocniéj aż się cała nadbrzeżna woda zmąciła.

Ludwinka drgnęła, jak gdybym to ją był moją gałązką uderzył.

Obudziłeś mię, rzekła bardzo, bardzo smutnie—i ja zaraz poczułem że coś złego, coś najgorszego zrobiłem, przykrość temu co już cierpiał.

— Ale kiedyś ty nie spała, rzekłem na ostateczne usprawiedliwienie —tyś nie spała Ludwiko—dodałem z prośbą.—Siostra nic mi nie odrzekła na to, tylko mię nie ledwie wzięła na ręce i pochyliwszy się wraz ze mną na uspokojoną wodę, lekko palcem wskazała.—Zobaczyłem siebie i Ludwinkę.—Jak zwierciadełko zabawił mnie ten obrazek, lecz zwolna, zwolna im dłużej w niego patrzyłem, tem zupełniej ogarniała mię jakaś senność, a nie oczu, nie ciała, bo oczy miałem roztwarte, bo ciało silnie w jednémże utrzymane wygięciu—była to raczéj senność mojego odbicia—jakiejś cząstki ze mnie, co na drobno łamaną falę rzeczki padła i w jéj kryształach chwiała się jednostajnie bez przerwy—bez zmiany.—Ale na błękitném tle nieba, którego barwą rzeczka jakby własnym swoim kolorem płynęła, tuż nad naszemi głowami właśnie osunął się odłamek srebrnego obłoczku i przerwał jedność widzenia—zaraz pobiegły za nim oczy moje dziecinne—lecz obłoczek i na niebie i w rzeczce gdzieś zginął.

— A gdzie on—gdzie on? Ludwinko?

Ludwika nie patrzyła za obłoczkiem, jednak widziała jego przejście i zrozumiała pytanie.

— Daleko, odpowiedziała mi tak jak pierwéj szepnięciem jedynie. —Gdzie to jest daleko moja Ludwinko—ja nie wiem gdzie to jest daleko.—Ludwinka zamyśliła się czy nad sposobem wytłómaczenia, czy nad treścią wyrazu, nie wiem—po chwili wstrząsnęła głową—jakby resztę uśpienia, lub resztę wrażeń z czoła odpaść jéj przez to miało i rzekła nieco wyraźniejszym, ale zawsze tak stłumionym jak przy zwierzeniu tajemnicy głosem—Pytasz?

Pytasz mię gdzie to jest? daleko Benjaminku—oto patrz—chciéj gonić za tą wodą—co tak wolno płynie, nie dogonisz—nie dogonisz—woda ucieka do Sanu—San ucieka do szerokiéj Wisły—a Wisła ucieka do głębokiego morza—a morze? ja ci nie powiem gdzie to jest.—Morze daleko.—A teraz tam na końcu téj łączki, widzisz jak niebo tuż do ziemi przytyka, idź po szafirowy kawałek tego nieba—idź przez łączkę—niebo będzie za polem—idź przez pole—niebo będzie za lasem

—idź przez las—niebo będzie znów za łączką—znów za polem—lasem—rzeczką, a gdzie jest niebo ja ci tego nie powiem. Niebo jest daleko—daleko.—A teraz przynieś tu klatkę, z twoją makolągwą wyżywioną, wypieszczoną, przez całą zimę—teraz jest wiosna Benjaminku, kwiatki kwitną, drzewa się zielenią, ptaszków mnóstwo śpiewa wszędzie. Otwórz klatkę braciszku—otwórz—zobaczysz jak makolągwa co cię kochała co ci z dłoni ziarnka jadła, z ustek wodę ocembrzoną piła, zobaczysz jak makolągwa ku wiośnie, ku nowym kwiatom wyleci, a tobie będzie smutno za nią, i spytasz może—Ludwinko, gdzie ptaszyna? —a ja ci tego nie powiem Benjaminku, bo ptaszyna daleko—oh daleko, daléj niż woda rzeki którą gonisz, daléj niż niebo którego chcesz dostać, daléj niż życzenie, daléj niż nadzieja, daléj niż niepodobieństwo—daléj jest to braciszku co nas w życiu opuszcza—co nas kochać przestaje.—I Ludwinka znów pochyliła się nad wodę rzeczki, tylko jéj obrazek zadrżał trochę więcéj niż przedtém i rozstąpił się pod dwoma kroplami, które nań spadły po chwili.—Obejrzałem się, twarz Ludwinki była bardzo spokojna, ale długie jasne rzęsy jéj siwych oczu świeciły jeszcze czystą łezką ostatnią. —Na patrzącego niespokojnie Ludwinka wzniosła długie, smutne spojrzenie.

— Benjaminku, rzekła jednak dość wesołym głosem, po co ci pytać gdzie to jest *daleko*— oto lepiéj biegnij się bawić kwiatkami—kwiatki zawsze blisko—a najczęściéj nisko rosną braciszku—i lekko zsunęła mię z kolan, lecz ja niepobiegłem według jéj rady, tylko sobie poszedłem brzeżkiem rzeczki i probowałem czy też ja się dostanę daleko—do morza albo do nieba, szedłem, szedłem ciągle, za ogród—za pole—i domek nasz z oczu straciłem i gdy mię nóżki boleć zaczęły, gdym przed sobą zobaczył las ciemny, nieznany, a końca rzeki nie zobaczył—gdym ręką wyciągniętą iglastych krzaków jałowcu się dotknął, a nie dotknął ściany nieba—wtedy dopiéro zrozumiałem co to jest daleko—i zrozumiałem co to jest kiedyś w przyszłości.

Ja tam kiedyś dojdę, rzekłem sobie, kiedyś—jak starszym będę i wracałem uspokojony tym zamiarem i po drodze zbierałem kwiatki dla mojéj siostry Ludwinki.—Uzbiéranemi z nienacka zasypałem w témże samém miejscu, tak samo nieruchomie nad wodą siedzącą.

Ludwinka zgromadziła je wszystkie, popatrzyła chwilkę i zwracając się ku mnie:

— Szkoda—szkoda tylu kwiatków Benjaminku.

Potém wzięła, wybrała co świeższe, co trwalsze, co w cieple rąk moich nie zwiędły i każdy kwiatek kolejno i starannie w wilgotnym piasku nadbrzeża sadzić zaczęła, jak czasem dzieci w swoich sztucznych jednogodzinnych zasadzają ogródkach.—Pomagałem jéj w téj pracy, odgadłem ja dziecię, ją marzycielkę kobietę—lub raczéj nie odgadłem, uczułem tylko co ona czuła i gdy wszystkie zasadziliśmy, kwiateczki świeżością zajaśniały.

— Im tu będzie lepiéj odezwałem się swobodnie, lepiéj niż tam na polu pod skwarem słońca, nawet dłużéj będą żyły.

— Ale gdy więdnąć przyjdzie, to smutniéj zwiędną, odpowiedziała siostra, a ja nie pytałem o słów tych znaczenie—to były także słowa mojego instynktu.

Brata Karola nie przypominam sobie wyłącznėm wspomnieniem w pierwszych chwilach mojego dzieciństwa, bo Karól z nas wszystkich najmniéj w domu przesiadywał.—Przy rozdziale ogólnéj gospodarskiéj pracy, jemu się część leśna, bardziéj domyślną należnością niż wyraźną ugodą dostała.—Może już dziewięć lat miałem kiedy się pierwszy raz stanowczą osobną w mojém życiu wyrył pamiątką.—Zdaje mi się że go dziś widzę jeszcze, rześki dwudziestoletni chłopak, opalony jak góral, ciemnowłosy, czarnooki, w zielonéj bajowéj burce.—Świsnął i na świśnięcie poskoczył ku niemu wielki czarny brytan—Karol go dla téj barwy przezwał Molochem, lecz nieraz żal mu było że tak najszlachetniejsze, najulubieńsze mu zwierzę, czartowskiém mianem zbezcześcił;—chciał mu je zmienić nawet, ale mu w tém Ludwika przeszkodziła—niechże i Moloch zacznie być dobrym, choćby jako zwierzę tylko, rzekła do niego.—A Karol, jak wszystkim dość częsty i dość żwawy stawiał opór—to nigdy Ludwince, Ludwinka była jego wybraną, jego najukochańszą z ukochanych, więc też Moloch został Molochem.—A był to pies rzadkiéj cnoty—rzadkiéj siły i odwagi—zadziwiającego instynktu—nigdy nie ukąsił nikogo; lecz kiedy mu się kto nie podobał, to go na ziemię wywrócił i trzymał go spokojnie ale

mocno dopóty, dopóki kto z domowych obronić nie wyszedł.—Karol nigdy nie byłby zaufał tak przyjętemu od Molocha gościowi—i kiedy chciał o kim powiedzieć że złym jest człowiekiem—to mawiał zwykle:—Poterałby go Moloch, oj poterał, jak się należy.—Wspanialszego ani łagodniejszego w całym psim rodzie nie widziałem stworzenia, choćby czasem jaki pokojowiec i szczeknął i rzucił się na niego—to Moloch dumnie tylko machnął ogonem, otrząsnął się jakby z wody lub kurzawy i szedł daléj w niezachwianéj powadze swego majestatu. —No, nie śmiejcie się państwo, że wam tyle o tym Molochu prawię— w całém życiu niespotkałem podobnego jemu...... człowieka.

— Ha tak, człowieka nawet—co najsilniejszy swéj siły by nie nadużył.—Są silni świętemi, ale najsilniejszy—jeden wśród nich najsilniejszy.... może z resztą przypomnieć sobie—ja przypomnieć nie umiem —okropnie w tych latach ostatnich mego życia na pamięci podupadłem. Jednak dziwna rzecz, jak wszystko co dawniéj było, wszystkie te najpierwsze obrazy, i znam dobrze i patrzę na nie czystém okiem i widzę je dokładnie.—Oh ten ogromny, ten poczciwy Moloch, jak on wybiegł ze swojej budy i swemu panu się radował, gdyż nie użyję na Molocha tego słowa, łasił—Moloch się nigdy nie łasił nikomu, Moloch witał, Moloch się cieszył, bawił, albo wywracał na ziemię.—Karol przyjął uśmiechem szczery objaw Molochowego przywiązania, poklepał go po karku z taką miną z jaką to czasem oficer żołnierza po ramieniu klepie, kiedy mówi o nim do drugiego oficera—patrz to tęgi wiarus.— Potém Karól zawołał: „Zitta!"—i ze stajenki naszéj wybiegła w podskokach składna jak sarenka, kara jak noc klaczka, prawdziwie tureckiéj rasy, już okulbaczona i ponsowym pokryta czaprakiem.—Tę klaczkę ojciec przypadkowo nabył bardzo tanio źrebięciem jeszcze, małem i słabem nawet, od wojskowych kwatery swoje porzucających— Darował ją Karolkowi pod warunkiem żeby on sam na jej utrzymanie zarobił.—Ten warunek zbogacił mię później przy narodzinach zupełnie nową kołyską; bo chłopiec, coby za konie był pewnie krwi swej nie pożałował, nie pożałował i czasu.—Wyuczył się koszykarstwa, wiązał miotły, spletał słomiane płachty do podłóg sieniowych, i w pobliskich miasteczkach przedawał, a co ładniejsze to nawet do samego

Lwowa pojechało.—Tym sposobem Zitta miała zawsze podostatkiem najwonniejszego siana, najsmaczniejszego obroku—a jak dorosła to się i siodło znalazło. Spotykały też nieraz Karola i sute w tym względzie wsparcia—na kolędę często po kilka korcy owsa przysypano mu do jego składu, a przed rokiem w dzień urodzin, przy łóżku śpiącego jeszcze, siostry rozwiesiły ów ponsowy czapraczek, w którym Zittcie tak prześlicznie było. — Napoleon co w paczce czekolady—książęcy tytuł Lefebwrowi przesłał, nie zrobił mu pewnie milszéj niespodzianki. Karol z radości nie mógł przyjść do siebie, bo on po Zaporozku swoją Zittę kochał, on ją sam karmił, poił, upiększał, a pewno nie byłby jéj sprzedał za wszystkie Galicyi i Lodomeryi skarby. — Zitta była jego czarną orlicą, jego dziką murzynką, jego zaklętym w konia płomieniem. —A było też widzieć jak Zitta patrzyła na niego swojem zmyślnem, dziwnie połyskliwą białością, odełba odciętem okiem. Jak mu czasem ów łeb na ramieniu, z jakąś lubością wschodnią, miękką, wdzięczną a namiętną oparła—jak na głos jego przybiegała z daleka, a posuwisto, a daleko, a chyżo, a doprawdy nie dopatrzyłby człowiek, czy tam ona kopytami ziemi dotknęła się nawet.—Oj Zitta! Zitta! niedawno śniło mi się o niej—i mówcie tam sobie co chcecie moi państwo, ja po tym śnie przez cały dzień nazajutrz weselszy i młodszy byłem.—Otóż więc we wzmiankowanéj chwili moich wspomnień, widzę Karola wśród wszystkich jemu najmilszych przedmiotów, bo zapomniałém powiedzieć że miał na plecach swoją dwururkę Augustówkę—fuzya jak cacko—świecąca—leciuchna, niby klejnocik kobiecy, a pewna niechybna, jakby sama do celu trafiała, zdawało się że strzelającemu dość ją było wziąść do ręki i spuścić kurek, choćby z zamkniętemi oczyma.—Karol, który lubił wszystko imieniem znaczyć, nazwał ją sobie: „kochanką.” A raz, jak zaczął mówić o jéj doskonałościach, o jéj piosence dla ucha najmilszéj, to aż się ktoś z mniej go znających zapytał: „czy daleko stąd mieszka ta młoda osoba?”—Młodą osobę Karol przedstawił z największą powagą ku największemu zadziwieniu pytającego.—No, chłopcze, zawołał wtedy, czy chcesz się przejechać ze mną?—Ja na odpowiedź wyciągnąłem ręce do góry, żeby co prędzéj siodła się uchwycić, ale bez strzemienia trudno mi było nań wskoczyć. Brat się uśmie-

chnął widząc moje usiłowania i gwiznął właściwym sobie sposobem Na gwiźnięcie Zitta przyklękła, cienką swoją żylastą szyjkę tak wyciągnęła ku mnie, że ją mogłem rękami objąć, a gdy objąłem, gdy się na grzbiet jej przerzuciłem, Zitta zerwała się równemi nogami i tylko jakby na umocnienie mnie siedzącego, karkiem silnie wstrząsnęła.—Obwińże go dobrze burką żeby nie zmarzł, odezwała się przez okno patrząca matka.

— Obwinę, obwinę, bądźcie spokojni, odkrzyknął Karol i wziął mię przed siebie, do piersi jedną ręką przycisnął, a drugą lekko uzdeczki potrząsnął. Na ten znak Zitta sunęła—sunął Moloch i w kilka minut już dom i wioskę straciliśmy z oczu. *(Dok. n.)*

KRONIKA PISMIENNNICZA POLSKA.

Badania w przedmiocie rzeczy przyrodzonych w Gallicyi, w Królestwie Polskiem, na Wolyniu i na Podolu. Z przydaną Mappą geognostyczną.— Lwów. Nakładem Jabłońskiego, 1845, in 8vo, str. 229.

Podwójne można mieć stanowisko, sądząc nowo-wychodzące dzieła, uważając je raz w jakim stosunku zostają do literatury ogólnéj czyli światowéj, to jest do rezultatów myślenia wszystkich czasów i ludów, albolitež jakie miejsce zajmują w literaturze narodowéj. W ostatnim przypadku bardzo względną bywa wartość dzieła, albowiem stosuje się do wykształcenia narodu w którym było napisane, i może w niéj bardzo wysokie miejsce zajmować, arcy być pożytecznem, jak np. Chemia Śniadeckiego, a tymczasem nie mieć żadnego znaczenia w umiejętności, albowiem onéj nie rozwija, nie posuwa, tylko ją przyswaja, wprowadza w pojęcia narodu pewną gałąź wiadomości. Mogą wprawdzie dzieła także zajmować najwyższe szczeble umiejętności i być zarazem narodowémi, jeżeli naród ten powziął na siebie missyę rozwijania

ducha ludzkiego. Dzieła tym najwyższym żądaniom odpowiadające, są bezwątpienia wielkiem zjawiskiem i zasługują na uwagę tych, których rozwijanie wiadomości ludzkich obchodzi, ale jak mało narodów wzięło na siebie to powołanie, tak mało też jest dzieł dochodzących do tego stanowiska, są one bowiem rezultatem skoncentrowania się wszystkiéj wiedzy w pewném dziale umiejętności i dalszem onéj rozwinięciem. Pospolicie wielkie pomysły, nowe drogi umiejętnościom wytykające, nie są częstemi. Lavoisier, Davy, Liebich, Jussieu, Hauy są rzadkiemi pojawiskami. Ogólne pomysły tych, że tak rzekę, bohaterów umiejętności, pospolicie ich następcy wyprowadzają, prostują, stwierdzają albo zmieniają. Jestto owa praca wieków składająca się dla poznania praw natury lub umysłu ludzkiego. Doświadczenie okazało, że narody przez pewien czas prowadzące rej w umiejętnościach jakby zmęczone, innym swego miejsca odstępują, które z młodemi siłami zbogacają wiadomości ludzkich przestrzeń. I tak w czasach chrześciańskich, po średniowieczném barbarzyństwie, Włochy pierwsze z pomiędzy narodów europejskich przebudziwszy się, poodkrywali mnóstwo prawd, stworzyli pomysły nieznane światu starożytnemu, ale już w 17 i 18 stuleciu Francya, Anglia, Niemcy zaczęły ich zastępować i Włochy od nich muszą się teraz uczyć, aby poznać postęp, jaki nasz czas robi.

Ale za obszernie rozwodzimy się nad stanowiskiem dzieł do literatury ogólnéj i szczególnej, czyli światowéj i narodowéj mając zamiar zdać sprawę o dziele, którego tytuł wymieniliśmy na czele; dziele nie mającem żadnego znaczenia pod jakim bądź względem; nie są to bowiem badania, jak je autor nazywa, bo nie obznajmił się z umiejętnościami które traktuje, tylko pozbiérał wiadomości pod pewne rubryki, których usprawiedliwienie trudno wykazać.—Chociaż literatura nasza nie wzniosła się do najwyższego stopnia, na jakiém stoją literatury wielkie europejskie; w każdym prawie dziale umiejętności, może wykazać dzieła, które przetorowały drogę następcom, w niektórych oddziałach zajmując ważne miejsce. Tym sposobem powstał język umiejętny w medycynie, chemii, fizyce, mineralogii, botanice, zoologii; język ten ustalił się i jest ogólnie znany. Autorowi badań właśnie tenże jest tajemnicą i dla tego nowe tworzy i miasto rozwijania umiejętności, daje

początek zamieszaniu. A że nadto autor nie obznajmił się z naukami, które właśnie rozwija, wyrazy jego nowe nie mają ścisłości, koniecznie potrzebnéj; ztąd pochodzi mała wartość jego nowych nazw. I tak pomieszał wyobrażenia jakie w ogólności przywiązuje się do formacyi geologicznéj i części onéj. Zarówno wylicza utwory wapienia skalistego (ma być formacya Jura, którą miesza z przechodową) z utworami ołowianemi, miedzianemi, galmanu, które są pokładami w dobrze odróżnionych formacyach. Wypadałoby iżby autorowie zabierający się do pisania dzieł obznajomili się naprzód z prawdami przed niemi odkrytemi, albo ich niedostateczność wykazali; bez tego przygotowania literatura nie będzie postępowała, tylko liczba jéj książek będzie się zwiększać, a pisarza onéj wypada uważać za niemającego celu wyrozumowanego. Ale posłuchajmy autora jak swe powody wyłuszcza, skłaniające go do pisania. Poświęca ją ziemianom dla obznajmienia się z własnym krajem sposobem zwięzłym a zrozumiałym; że 40 lat pracując nad tém dziełem, wiele podróżował dla napisania onego. Jakkolwiek niezaprzeczone są najlepsze chęci i dziwna wytrwałość, gdy wypada sądzić dzieło, jest to bezwątpienia najmniejsza zaleta, i ograniczać się może na pochwały grona towarzystwa z którym żyje. Sąd o dziele musi wykazać: co nowego uczynił? jaka jest forma wykonania onego? Z tytułu trudno już dojść co za przedmiot obrał autor do swych badań. Powszechnie przedmioty które przedstawia, obejmują francuzcy i niemieccy uczeni pod Jeografią fizyczną. W części bowiem pierwszéj zastanawia się autor nad nierównościami ziemi, w drugiéj nad składem jéj geognostycznym, a w trzeciéj nad własnościami hydrograficznemi, botanicznemi, meteorologicznemi. W każdéj mnóstwo jest usterków, i tak pomija w Karpatach główne pasmo, owe niebotyczne Tatry—najcelniejsze Gallicyjskie góry spomina okolicznościowo, uważa je za odnogę; jest to wyobrażenie przedawniałe a nie prawdziwe; o Bieskidach zupełnie nie wiedział, chociaż Sydow obszerną onych monografią napisał.—Jeszcze słabsza jest część geognostyczna;—autor nie ma jasnego wyobrażenia co znaczy formacya, trzyma się zasad Wernera, nie poznawszy ich dokładnie; na nowe odkrycia nie zważa.—W części trzeciéj wreszcie uderza podział szczególny, pod fauną

miasto zwierząt znajdujemy wymienione drzewa, a pod florą kwiaty; o tém niech sądzi każdy co umie.

Zakończając to zdanie sprawy, rzucimy kilka myśli nad dziełami popularnemi.—Pospolicie ludzie mało co z umiejętnością obznajmieni, są najpochopniejsi do pisania dzieł popularnych, służących dla wszelkiéj publiczności. Zamierzają bowiem uczyć ogół mniéj od siebie umiejący, wydaje się im to bardzo łatwą rzeczą. Zupełnie przeciwnego jesteśmy zdania. Wybór prawd dowiedzionych, trafnie a zrozumiale wyłożony, należy do najtrudniejszych zadań, i dla tego tak rzadkiemi są dobre popularne dzieła.

NOWOŚCI.

Ad. A. Kosiński napisał *Szkice przeszłości.*

— Olimpija Siennicka ma wydać Gawędki pokąpielne Podgórzanek w Busku.

— J. S. Jasiński przełożył Polowanie basetlisty z Dumasa.

— Władysław Chomentowski wydrukował u Tomaszewskiego: *Trzy Obrazy* (poezije).

— Ma wyjść przekład z francuskiego Hygieny popularnéj albo Nauki zdrowia.

— Seweryn Porajski znany tłumacz Tajemnic Londynu, przełożył w 5ciu tomach drukującą się powieść p. t. Wspólnik Grabarza z Dumasa, oraz Nocy na smętarzu Pére-la-Chaise, we 2 tomach.

— Kraszewski napisał nową powieść p. t. Milion posagu.

— Gorączkiewicz Wincenty wyda w Krakowie Śpiewy choralne kościoła rzymsko-katolickiego, ułożone w harmonii na organy.

— Leonija Krysińska ma ogłosić drukiem swoje Poezije. Piękne z nich wyjątki bywały w Pierwiosnku pani Krakow z podpisem Leontyny B.